

# Kazimierz Nowosielski

---

## Literatura, małe ojczyzny i uniwersalia

---

Acta Cassubiana 2, 215-222

---

2000

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Kazimierz Nowosielski

## Literatura, małe ojczyzny i uniwersalia

„Kto chce wykładać owoce, musi wpieryw posiadać dwie rzeczy: stronę rodzinną i dzieciństwo. Potem dopiero będzie mógł pomyśleć o prawidłach sztuki, surowych i wymagających studiów z dziedziny ogrodnictwa i psychologii” – tak ciągle mało znany, współczesny pisarz polski, Marian Pankowski, zaczyna swój *Traktat o wykradaniu owoców*, zamieszczony w jednej z jego najciekawszych książek, w *Smagłej swobodzie*.

Niech i mnie zatem będzie wolno zacząć od próby opisu smaków wzrastania, od wyprawy do krainy pierwszej, najbardziej serdecznej; do krainy mego dzieciństwa.

Urodziłem się w wiosce położonej w pobliżu Noteci, która to rzeka akurat w tym miejscu, jakieś 15 km od Jeziora Brdowskiego, z którego bierze początek, wedle zapewnień mojej babki oddziela Kujawy od Wielkopolski. Parę kilometrów za rzeką przycupnęła niewielka wielkopolska osada Sompolno, do której, by pobierać nauki w miejscowym liceum, dojeżdżałem na rowerze, a skąd też, zwłaszcza zimą, można było wracać „na piechcie, najpirw bez łanki, tak durch, a potem troche na szage, bez pole”, aż minąwszy krzyżówki dochodziło się do mego rodzinnego domu, wraz z resztą wioskowych gospodarstw przynależącego do sompoleńskiej parafii, acz administracyjnie i regionalnie zarazem – do kujawskiego Radziejowa. Wśród miejscowych sły-

chać było mieszaninę kujawskowielkopolskiej gwary, która w mojej rodzinie nakładała się na kresową mowę mego ojca, dość starannie ukrywającego swój oszmiański zaśpiew, być może dlatego – tak się dziś domyślam – by ochronić dwóch swoich synów przed dość dokuczliwym, a wyostrzonym w czasie bójek z rówieśnikami określeniem „zabugole”.

Dom, który zamieszkiwaliśmy, był poniemiecki (wówczas jeden z nielicznych ceglanych domów we wsi, choć tak naprawdę jego budowniczemu cegły starczyło zaledwie na jedną zewnętrzną warstwę, za którą kryła się dość gruba gliniana ściana), z wyraźnie zaznaczoną na szczycie sygnaturą swej niegdysiejszej przynależności: „AS” – Albrecht Sys. Jego budowniczego, jak sobie przypominam, sąsiedzi wspominali raczej dość dobrze. W każdym razie mój ojciec do końca swego życia nie pozwolił nam, dzieciakom, poodkręcać tych solidnych, z grubego żelaza zrobionych liter, które wszak mogły zostać spieniężone w sompoleńskim punkcie skupu złomu albo – zanesione do szkoły, gdzie zbierało się „stłuczkę” i „żelastwo” – zamienione na złotówki, które wraz z klasą ciualiśmy na coroczną autokarową wycieczkę.

Choć w tej wielokulturowej przestrzeni przyszło mi wzrastać, to jednak jako dziecko raczej nie miałem problemów z określeniem: kim jestem? Pozostawałem jednym z wsiowych chłopaków, zawsze chcącym się jak najszybciej upodobnić do nieco starszych od siebie, i byłem jakoś tam sobą zarazem, a więc kimś, kto całą swą dziecięcą potencjalnością żyje w swoim „tu i teraz” – w wielkiej i niebezpiecznej przygodzie wzrastania; w szczęściach i bólach poznawania twardości kamienia, mroczności nadnoteckich bagien, najbardziej niebezpiecznych gałęzi na starej wiśni w przydomowym sadzie, we własnej cielesności wreszcie, w której powoli jeły dawać znać o sobie tajemnicze dreszcze budzącej się seksualności... Wtedy nie w głowie mi było: czym jest z Kujaw, czy też z Wielkopolski, i jakie tożsamościowe problemy przywoził z sobą zza Buga mój ojciec; wszak moją dziecięcą istotę – tak mi się wydaje – bardziej wyrażało namiętne zapamiętywanie się w czymś, co mnie pochłaniało i zagarniało zarazem, niżli rozpamiętywanie: skąd się przyszło i co mnie określa?; co mnie wybrało i każe wybierać nieco innego niż jestem, niż się staję?

Sądzę, iż najważniejsze w tej tożsamościowej materii rozstrzygnięcia dokonują się za przyczyną mniej lub bardziej nagłego, czasem wręcz dramatycznego uświadomienia sobie przez dziecko obecności i rangi kulturowych alternatyw: tego, że może być inaczej, że można być przejętym i prowadzonym przez inny niż rodzicielski, przez inny niż ten, w którym się wzrastało, rodzaj opowieści o sobie i świecie. Tę kuszącą, fascynującą i trwożącą zarazem prze-

strzeń innego, konkurencyjnego wobec dotychczasowych obszarów doświadczenia, języka – przynajmniej w moim pokoleniu – odsłaniały książki; to za ich sprawą konkretyzowały się we mnie pierwsze niechęci do tego, co zastane, a co coraz bardziej wydawało mi się banalne, zwyczajne, wyszarzałe w codziennym obcowaniu; to za ich przyczyną wywołane zostały pierwsze radykalnie wyrażane bunty wobec rodzicielskiej i rodzimej obyczajowości; to one budziły gwałtowne tęsknoty za światami, jak mi się wydawało, atrakcyjniejszymi, bogatszymi, oferującymi bardziej ekscytujące spełnienia, a przez to jak owoce z cudzego sadu, które zawsze lepiej niż własne smakują – domagającymi się innego do siebie podejścia, innej niżli zazwyczaj wysłuchiwana pieśń.

W *Nagim sadzie* – debiutanckiej powieści Wiesława Myśliwskiego – dorosły już bohater – narrator wspomina, jak to wieziony niegdyś furą przez ojca z miejskiej szkoły do domu na pierwsze w swym życiu wakacje uzmysłowił sobie przepaść między miłością tego, kto go wybrał do kochania, kto go ukochał po prostu, a egoistycznym doświadczeniem własnej wyłączonej i wszechmocy zarazem, którą mu dawała pozyskiwana w szkołach wiedza. To, co przychodziło od strony serca, od strony rodzicielskiej woli wytrwania przy umiłowanym, odsłoniło mu się jako coś gorszego, słabszego w konfrontacji z tym, kim się człowiek stać może, jeśli zawierzy obiecany mu przez książki światom. Kultura, zdaje się mówić Myśliwski, która nie pozyskuje człowieka dla zobowiązującego go człowieczeństwa, dla tego, co go przewyższa w dobru i pięknie, okazuje się nie tą rzeczywistością, w które on może wzrastać, dojrzewać do możliwej pełni siebie samego.

„Niektórzy – powiada bohater powieści – mówią o książkach jako o zaczarowanym świecie, o tym, ile zawdzięczają książkom w swoim życiu, wspominają, jak to je czytali po kryjomu nieraz, nie przy świetle, lecz przy księżycu, nie przy stole, lecz gdzieś na drzewie w listowiu, ale ja tam mozoliłem się nad nimi dzień w dzień, świątek piątek, i niczego dobrego nie zaznałem prócz zwątpień. A przecież długo im ufałem, póki jeszcze żywiłem nadzieję, że kiedyś dam radę tej wielkiej bibliotece. (...) Skąd mogłem wiedzieć, że książki nie są martwe, lecz jak stworzenia, przewrotne, podstępne, nieżyczliwe, bo gdy nie mogą strachem zmóc, wtedy cię kuszą, obiecują więcej niż mogą, niby otuchy ci dodają, a zwodzą, wciągają cię w tę swoją mądrość niby jasną, przestronną jak pańskie pokoje, lecz kiedy się dobrze rozejrzysz, widzisz, żeś w zwątpienie spętany”.

Prawdziwa mądrość – uzmysławia sobie w pewnym momencie syn z *Nagiego sadu* – powinna przede wszystkim pomagać w trudach rozpoznawania i

pozyskiwania jakiejś ubogacającej jedności nie tylko między nim a ojcem, lecz i w każdym z nich z osobna zarazem. Ale gdzie jej szukać? Na glebie jakich wartości zakorzeniać życie, aby prawdziwiej i mądrzej być? Nim próbujemy sobie odpowiedzieć na to pytanie, zauważmy, iż ten tak bolesny dla bohatera powieści paradoks osamotniających rozstajów, swoistego zawieszenia między światem książek a walorami osobistego doświadczenia, ów charakterystyczny dla każdego etapu wznoszenia i wrastania dylemat kulturowych rozdroży nie może być inaczej wyrażony jak tylko ... przez kulturę; wszak wypowiada go ktoś, kto pisze książkę o tym, jak to się zawiódł ... na książkach.

Więc to może wtedy, po pierwszych opowieściach ojca, który handlując końmi przywoził obrazy innych światów, po pierwszych czytanych mi przez mamę balladach Mickiewicza („on też od nas, z Kresów” – podkreślała siostra mego taty), po *Sercu Amicisa* i wierszykach Konopnickiej, a potem już na własną rękę przyswajanych indiańskich powieściach May’a – narodziła się we mnie owa bolesna i ekscytująca, bo stale konfrontowana z tym, co zastane i jakoś ukochane, tęsknota za nieznanym? To ona pobudzała wyobraźnię i to ona zapewne kazała mi skrobać pierwsze wiersze o tajemnicach niewielkiego miejscowego jeziora, po którym w mojej imaginacji poczęły się szwendać Mickiewiczowskie bogunki oraz inne, budzące dreszcz zjawy. W ten sposób magiczne aury cudzych opowieści jęły w doświadczeniach wiejskiego podrostka dość skutecznie konkurować z mdłym, nadzieiornym zapachem krowiego łajna, ze smrodem przemieszanego z kaczymi odchodami błota i gorkawą wonią kozich bobków rozsypanych na prowadzących ku jezioru ścieżkach. I tak też z czasem okazywało się, że to, co atrakcyjniejsze, wcale nie musiało się stawać gdzieś bardzo daleko, poza granicami dotąd zwiedzanych obszarów; by odnowić przymierze z niepowtarzalnością rzeczy i spraw najbliższych – wystarczyło je wprowadzić w obręb nieco innego języka, włączyć w sferę odmiennych niżli oferowała codzienna mowa melodii, spotkać z symbolami, które dotąd wśród nich nie bytowały.

Wspominam o tej dziecięcej próbie przeniesienia nadświteziańskich mgieł, blasków i zwidów nad wody Zakrzewskiego Jeziora, bo wiem, iż przecie nie ja jeden padłem ofiarą owego romantycznego uwiedzenia i rozdarcia zarazem; to ono wszak kazało mi wtedy także przedkładać walory wyobrażonego nad to, co realne, uciekać od najbliższych, by potem do nich wracać – z poczuciem zdrady ich najprostszycy pragnień: tego, że się nie wytrzymało przy ich miłości, że się ich samotność przysłoniło aurami wymyślonych światów. Jednocześnie to romantyzm nauczył nas twórczego spoglądania głodnymi tajem-

nic oczyma na to, co lokalne, dzisiejsze, często zbanalizowane w bezrefleksyjnych obrotach języka, wyszarzałe w codziennym z sobą obcowaniu. On także wskazał na znaczenie rodzimych opowieści, miejscowego dziedzictwa dla kultur ponadlokalnych, odsłonił uniwersalne wartości w tym, co zdawało się już raz na zawsze skazane na bytowanie w wąskim horyzoncie gminnego doświadczenia, w mniej lub bardziej prowizorycznych opłotkach miejscowego obyczaju. To właśnie romantycy odkryli walory małej ojczyzny, wpisując ją w coś bardzo istotnego, wręcz – fundamentalnego, jeśli idzie o ich wizję istnienia, bo w egzystencjalny projekt poszukiwania prawdy o człowieku wewnętrznym, niepodległym wobec represyjnych, zniewalających aspektów aktualnie dziejącej się historii, wobec bezdusznych reguł zoficjalizowanej kultury czy pozornych dobrodziejstw cywilizacyjnych konieczności. Tylko tam, w obrębie prawdy o człowieku wewnętrznym, sądzili poeci, da się odnaleźć pamięcią tak o rzeczywistościach zagubionych lub zaprzepaszczonych, jak i jeszcze niewywalczonych, a przyzywających obietnicą wolnego w nich zamieszkiwania.

Romantyczny imperatyw uwewnętrzniania tego co najbliższe, ukazywania duchowych pożytków jak najbardziej indywidualnie doświadczanego czasu i przestrzeni, zdawał się posiadać jeszcze jeden, wcale niebagatelny cel: miał inspirować człowieka do permanentnej transgresji, ośmielać do przekraczania tego, co już w nim samym i dokoła niego rozpoznane, uobecnione w języku, oswojone, zachęcić do wysiłku samowyzwalania się – ku czemu? Na to pytanie rozmaite w owej epoce padały odpowiedzi. I tak na przykład dla młodego Mickiewicza wiązało się ono z ryzykiem nieustannego otwierania się na niedostępny ludzkiej racjonalności świat duchowy, na rzeczywistość snów, szaleństwa, imaginacji, na tajemne przestrzenie pełne głosów umarłych, pokrzywdzonych, zabitych, podczas gdy mistyczny Słowacki łączył owo pytanie z wyzwaniem ukrytych potencjalności człowieka – aż po pełne włączenie go w kosmiczną palingenezę, w odwieczny proces przebóstwiania się ludzkości i bytu. Dla wielu, zwłaszcza pomniejszych krajowych romantyków, sentymentalne widzenie „ojczyzny najbliższej” stanowiło zaledwie preludium do rojeń o wielkiej ojczyźnie rodowej, etnicznej, skąd już tylko krok do narodowego samouwielbienia i manifestacyjnego odgradzania się od innych. Z kolei Norwid, aż do bólu realista, Polak i rzymski chrześcijanin, starał się widzieć człowieka poprzez jego pracę nad wartościami stanowiącymi o nim jako o osobie i wspólnocie osób. To praca – uważał – zakorzenia człowieka w rzeczywistości i w duchu, w prawdzie tego, kim jest i gdzie jest, i uprawomoc-

nia jego kierowane ku Niebu wołanie o założycielskie, osobowe Wszystko. Autor *Promethidiona* z jakąś dojmującą rzetelnością świadka epoki, z niezwykłą determinacją i poetyckim wyskrzydleniem jednocześnie, konfrontując oczekiwane ze stającym się, wytęsknione z realizowanym, stara się stale pamiętać o porządku zamieszkiwania w domu boskoludzkich wartości: od „ja” poprzez wspólnotę osób aż do wspólnoty w Duchu Stworzycielu; przypomina, iż złe, bez należytej troski zamieszkiwanie w którymkolwiek z tych porządków, zlekceważenie ich aksjologicznej rzeczywistości, prowadzi do erozji człowieczeństwa jako projektu nieustannie przekraczającej nas Całości i przyzywającego Spełnienia.

Norwidowy Quidam, uprawiając ziemię pod namiotem Nieba, pozostaje sobą stale stwarzającym się o tyle, o ile zdolny jest dosłyszeć i uwzględnić w swym utrudzonym bytowaniu rangę pytań fundamentalnych, rzekłbym – założycielskich, a wśród nich nade wszystko tego, które rozległo się jako pierwsze w ziemskiej historii człowieka: „Adamie, gdzie jesteś?” (Rdz 3,9). Zauważmy, iż w Biblii Bóg nie pyta o to, kim jest teraz, po zerwaniu przymierza, ten, kto zwątpił w przyrzeczone mu Dobro i zatrwożony tym, co uczynił – jakby instynktownie szuka schronienia w ładzie natury, w obrębie jej, jak mu się zdaje, usprawiedliwiających go konieczności („Wtem usłyszeli – człowiek i jego żona – odgłos [kroków] Jahwe–Boga przechadzającego się po ogrodzie, gdy wiał codzienny wietrzyk. I skryli się przed Jahwe–Bogiem pośród drzew ogrodu” (Rdz 3, 8)). On nie zapytuje: „Adamie, kim oto teraz jesteś?”, bo zna prawdę jego serca, prawdę jego istotowego ogołocenia („Teraz otworzyły się obojgu oczy i poznali, że są nadzy – Rdz 3,7) i nie chce go tym pytaniem przytwierdzić już raz na zawsze do dramatycznej odtąd rzeczywistości jego egzystowania. Stwórca, wychodząc z tą sprawą naprzeciw ludzkiemu stworzeniu, zdaje się zarazem otwierać przed Adamem szansę trudnego stawania się w sferze wybranych przez tego ostatniego celów i konstytuujących jego jestestwo odniesień; w jakimś istotnym sensie Jahwe pytanie czyni tu zadaniem, a zadanie opatruje pytaniem – i w tej zasadniczo odmienionej rzeczywistości umieszcza człowieka. W ten sposób ustanawia też przestrzeń jakiegoś nowego samookreślenia się ludzi; trudnego, acz nie niemożliwego powrotu do utraconej Pełni. Odtąd człowiek, aby wychodzić z siebie zastanego, siebie okaleczonego grzechem, ograniczonego w swej naturze, będzie musiał za Bogiem ponawiać pytanie o to, gdzie tak naprawdę zamieszkuje, „gdzie jest?”. Bóg nie zostawia Adama jego samotności, jego „ogołoceniu”, ale jakby podaje mu swą rękę, pytając (a więc szanując jego wolność): w przestrzeni jakich

to wartości wybiera odtąd realizowanie swego człowieczeństwa? Od tego miejsca w dziejach stworzenia zdaje się ono rozlegać w każdej sytuacji ludzkiego bytowania i dotyczy tego, jak człowiek zamieszkuje: w sobie, w rodzinie, w ojczyźnie, w transcendencji. Dopiero rzetelne rozeznanie się człowieka w owych realnościach zamieszkiwania umożliwi mu odpowiedź na pytanie: „Kim tak naprawdę jest?” – zawsze w odniesieniu do tego, co go przewyższa i zobowiązuje – jeśli, oczywiście, on w swej wolności uzna je za konstytuujące jego człowieczeństwo, prowadzące do Pełni, a więc i warte trudu życia.

Drugie ważne pytanie, które pada od strony Boga i rozlega się w tejże samej *Księdze Rodzaju*, dotyczy już nie tylko owej fundamentalnej i wszechzagarniającej relacji: Stwórca – człowiek, ale odnosi się do tego szczególnego miejsca w istnieniu, które wyznacza spotkanie człowieka z człowiekiem, Kaina z Ablem, a brzmi ono: „Kainie, gdzie jest twój brat Abel?” (Rdz 4, 9). Owo pytanie ujawnia rangę tego, jak ważne w oczach Boga jest to, czym nasycamy miłsze spotkanie z kimś drugim; to, jak tu i teraz realizuje się nasza solidarność w ziemskim zamieszkiwaniu; jak staje się to, co w tej solidarności najważniejsze: nasza miłość. W owym „Kainie, gdzie jest twój brat Abel?” skupia się sprawa naszej elementarnej odpowiedzialności za bycie we wspólnocie, za jakość tego bycia, za jego prawdę, za wypełnienie go rzeczywistościami, a nie pozorowanymi wartościami. Tu, w owej wspólnocie osób, w rodzinie, w ojczyźnie, w cywilizacji, jak powiedział Jan Paweł II, „każdy ma swoje Westerplatte”; na każdym z tych odcinków broni swego i ponadwspólnotowego dobra przed inwazją anty-Sensu. Obrona każdego z nich – podkreśla papież – stałaby się niezrozumiała także i wtedy, gdyby nie został on odniesiony do tego wszystkiego, co go poprzedza i co go zagarnia: rodzina bez osoby, ojczyzna poza tym, co się buduje „na rodzimym”, ród bez cywilizacji, człowiek – bez Boga. Wedle Norwida na każdym z tych odcinków, na każdym z tych duchowych i rzeczywistych terytoriów rozpoznajemy prawdę naszego człowieczeństwa i sprawdzamy wartość naszej odpowiedzialności za dar bycia wolnym, który od Boga pochodzi, a jako historyczny testament spisany został także krwią i potem naszych ojców. Na znaczenie tak rozumianej ojcowizny, „koleby” – jak powiedzieliby nasi przodkowie, ojczyzny, z jakąś szczególną determinacją wskazywał autor *Pierścienia wielkiej damy*, ujawniając wyjątkową dramatyczność jej usytuowania tak w obrębie cywilizacyjnych, jak i polskich doświadczeń, a w związku z tym i jej nieomijalność w porządku każdego zapytywania o sens tego, gdzie i jak się zamieszkuje na ziemi.

„Bo kto minął ojczystość – pisał Norwid – chociażby idąc po wawrzyny



sławy sław i po mądrość nie mającą granic, ten u pomnika swego się zatrzyma i z goryczą pojrzy ku domowi.

Bo kto, do krzyża nawet idąc, minął krzyże ojczyste, ten przebiera w męczeństwie!

A kto, uganiając się za postępem, myśl ojczystą potrafił – ten za postępem jest koniecznie – gdyż sam przez się nie kroczy.

Bo Ojczyzna – Ziomkowie – jest to moralne zjednoczenie, bez którego partyj nie ma – bez którego partie są jak bandy lub koczowiska polemiczne, których ogniem niezgoda, a rzeczywistością dym wyrazów”.

A zaś w innym miejscu dodawał:

„Kto patriotyzm zamienia na wyłączność (...), ten musi koniecznie z ojczyzny zrobić sektę i skończyć fanatyzmem”.

Każda z tych ludzkich rzeczywistości (ja, my, zbiorowość), które są przede wszystkim rzeczywistościami serca, bo w Miłości znajdują swe ostateczne spełnienie, domaga się troski i uwagi; domaga się kultury, czyli uprawy (łac. *colo, -ere, cultum*). Poza nimi także kultura traci sens, bo nie służy ludzkiemu wzrastaniu: ku górze, „ku Niebu” – jak powiadał Norwid, do pełni Osoby. Zlekceważenie tej powinności mądrego wzrastania w człowieczeństwie, dojrzewanania do spełniania się wpośród i dla najwyższych wartości, powoduje, iż zostawiamy w sobie i za sobą ziemię jałową, ziemię spustoszonego sumienia.

Z tego też powodu pierwsze z Boskich pytań: „Adamie, gdzie jesteś?” wzywa do takiego spojrzenia w głąb wartości, które angażuje całe życie człowieka – we wszystkich porządkach wspomnianego zamieszkiwania. Pracując w ich obrębie i dając tam w pełni siebie, człowiek otrzymuje imię – znak swej godności („Jak Pańska godność?” – zapytywano kiedyś, podczas gdy dziś coraz częściej wystarcza już tylko numer karty kredytowej); tam też rozpoznaje imię zadanej sobie przestrzeni: kraina Nod na wschód od Edenu, Polska, Kaszuby, Gdańsk, mała wioska Rybno nad Notecią.